Nr. 44. We Lwowie dnia 29. października 1894. Rok II.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

UTRATA.

Pamięci Szopena.

Czemu szumisz Utrato?*) Czemu wody zmącone
Ciskasz na brzeg z rozpaczą?
Czy utraciłaś, matko, dziecię twoje rodzone,
Że tak głębie twe płaczą?

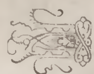
Utraciłam ja syna, rodzone moje dziecię,
Utraciłam na wieki!
On śpiewał ból mych głębin, on niósł po wielkim świecie
Jęk macierzystej rzeki!

Nie płacz, matko Utrato, ucisz zmącone fale,
Syn twój żyje u ludzi,
On zamieszkał w ich sercach, on tam wtórzy twe żale
I twego ducha budzi!

Cichnie matka Utrata, mija wiosek szeregi
I ulata z westchnieniem,
Tylko kiedy niekiedy, uderzając o brzegi,
Szumi syna imieniem.

Andrzej Niemojowski.





Zadania powieści polskiej.



Skreślił

Z. Miłkowski (T. T. Jeż).

(Ciąg dalszy).

Zwierciadło głównie i szczególnie do jednego służy użytku, o którym najlepiej poinformować mogą elegantki. One je najdokładniej znają ze strony ważnej — ze strony przysług, jakie oddaje: radząc i ostrzegając. Służy ono wprawdzie i do użytków innych, jak np.: do ozdabianie salonów, do łowienia ptaków, do szpiegowania (na ten cel obracają je w Belgji) etc., lecz nie są to użytki ani główne, ani najważniejsze. Głównym i najważniejszym jest ten; który zaznaczyłem powyżej, a jest to właśnie użytek, do którego służy powieść.

*) Utrata jest to nazwa rzeczki, przepływającej przez ogród w Żelazowej Woli, miejscu urodzenia Szopena, gdzie przed paru tygodniami miała miejsce piękna a rzewna uroczystość odsłonięcia pomnika dla mistrza tonów. Poezja p. Niemojowskiego została napisaną do kantaty p. Zygmunta Noskowskiego, ułożonej na tę właśnie uroczystość. (Przyp. Red.).

Rada i ostrzeganie.

Rada i ostrzeganie: to jej służba, w tem jej zadanie.

Że tak jest, na dowód wskażę powszechnie znane przykłady wpływu, jaki powieść na społeczeństwo we względzie życiowym wywarła. Cerwantesa »Don Kichot« zwalił błędne rycerstwo; Jana Jakóba Rousseau »Emil« i Pestalozziego »Leonard i Gertruda« zreformowały edukację; pani Beecher-Stowe »Chatka wuja Tomasza« *(Uncle Tom's cabin)* wyzwoliła murzynów. Są to przykłady głośne, powszechnie wiadome i uznane, odnoszące się do utworów pojedyńczych, które pojawiły się w porę i ten sprawiły skutek, że za ich przyczyną rozstrzygnęły się sprawy życiowe, zawikłane i trudne. Obok nich wskazaćby można inne jeszcze utwory, których wpływ, luboć nie tak głośno i wyraźnie, uczuć się wszelako dał. Eugenjusz Sue np. przyczynił się znacznie do wytoczenia na stół kwestji socjalnej. Zbiorowo — czyż przypuścić można, ażeby powieści, tylu zawziętych czytelników mające, nie wywierały wpływu na kształcenie umysłowe — na gimnastykowanie i nastrajanie tych zaczynów, które mózg człowieczy zapładniają ideami, pomysłami, które naprowadzają na drogę wynalazków i każą je przeczuwać, jeżeli ich nie zapowiadają, z bardzo — bardzo daleka? Kto oznaczyć zdoła datę, w której naddziadom naszym w epoce kamienia, czy bronzu, czy żelaza, może w epoce jaskiniowej, może później, przychodziły do głowy koncepty o butach skorochodach, o płaszczach latających, o koniach skrzydlatych, i czy mogli oni przypuszczać, że koncepty ich urzeczywistnią się w czasach naszych pod postacią dróg żelaznych, welocypedów i balonów? Koncepty owe, powieściowe pierwotnie i nawskróś fantazyjne, powieść zaznaczyła jako życiowe ludzkości dążenie i rozbudziła w umysłach w kierunku dążenia tego ruch, wkraczający w sferę czysto naukową.

Komużby w czasach obecnych na myśl przyjść mogło, zestawiać owe, w dzieciństwie ludzkościowem poczęte rojenia, ze ścisłemi obrachowaniami mechaniki, z rezultatami fizycznych i chemicznych badań i doświadczeń? A przecie, w ogólnym ruchu umysłowym zestawiają się one całkiem naturalnie, sprzęgając się w ten sposób, że gdyby rojeń owych nie było, nie byłoby ruchu naukowego, zabrakłoby mu bowiem tej podniety, co go wywołała. Bez tej podniety społeczeństwa mrówcze, jak budowały na początku wytworzenia się rodzaju mrówczego swoje przedziwnej struktury zamki ze składami, kurytarzami, galerjami, salami, tak je budują obecnie. Bez niejby nie istniał postępowy rozwój w żadnym z tych prądów, które w ludzkości nurtują w kierunkach, składających się na ruch życiowy, łączących się, plączących, krzyżujących i znajdujących swój wyraz w powieści. Powieść je produkuje i reprodukuje, wywołuje i po wywołaniu niemi się karmi, analizując je do szczegółów najdrobniejszych, zaglądając, wglądając wszędzie i wywłócząc na widok publiczny to, co było, to, co jest i to, co być ma, być może, być powinno lub nie powinno w zakresie życia i aspiracji życiowych, w stosunkach towarzyskich, społecznych, ekonomicznych, politycznych, w sensie dodatnim lub ujemnym, wyrażającym zadowolnienie lub niezadowolnienie, optymizm lub pessymizm. Ztąd powieści rodzajów i podradzajów tyle! — ztąd w niej tyle świateł i cieni, półświateł i półcieni, zależnych od szkieł, przez jakie autorowie spoglądają na rzeczy i ludzi!..... Powieść wszystkiego dotyka, wszystko obejmuje, wykazuje, roztrząsa, rozważa, posługując się dokumentami społecznemi, czerpanemi z życia w przeszłości i teraźniejszości i z niemi wkracza w przyszłość, w obec której przeszłość i teraźniejszość są nie czem innem, jeno nagromadzeniem materjałów budowlanych.

Powinienbym wyszczególnić rodzaje powieści; nie uczynię jednak tego dla jednej bardzo prostej przyczyny: czasuby na to nie stało. Na samo wyliczenie nazw, zaopatrzone przy każdej nazwie w objaśnienia jak najkrótsze, potrzebowałbym wieczorów kilka. Pominę więc to, poprzestając na zaznaczeniu jednej pretensji, z którą się powieść spotkała w czasach ostatnich, a która, jak mi się zdaje, wynikła z niedość jasnego i cokolwiek za ciasnego pojmowania jej w literaturze stanowiska.

Pretensja owa polega na wyrzucaniu jej tak zwanej »tendencji« i domaganiu się od niej zamknięcia się w ramach piękna, inaczej powiedziawszy: na przeniesieniu się z miejsca środkowego i ulokowaniu na obwodzie łańcuchowym w ogniwie, obejmującem dział poezji. Mniejsza o to, iżby w takim razie rola jej stać się musiała bardzo podrzędną, fałszywą, zamarkowaną; chodzi nie o rolę, ale o stanowisko, o znaczenie, o zadanie, któreby zeszło na poziom stylowych ćwiczeń, dostrajających prozę do poetycznej skali. Są autorowie, co praktykują to i z zadania swego wywiązują się świetnie, zwłaszcza w utworach krótkich, malujących bądź to jakiś uderzający efekt, bądź też jakieś oderwane wrażenie. Noweletki nadają się na ten koniec wybornie; z nowelami idzie trudniej nieco, ale piórom zdolnym udaje się nierzadko napisać rzecz bez treści — zachwycającą, pełną wdzięku, harmonji, śpiewną i obrazową: celował w tem Turgieniew, celują Francuzi, naszych kilku młodych pisarzy idzie tym torem z powodzeniem; w powieści atoli autor chociażby się jak najbardziej wysilał na doprowadzenie intrygi do zera i przedstawienie akcji bez cienia jakiejkolwiek intencji, przez to już samo, że akcję przedstawia, składa dokumenty społeczne i myślącego czytelnika zniewala do wyciągania z utworu jego wniosków, wpływających na formowanie się opinji. Wnioskowanie wzmaga się przy powieściach filozoficznych, a

jeszcze bardziej przy tak nazwanych psychologicznych, luboć, ściśle rzecz biorąc, powieść każda, najlichsza nawet, psychologją się posługuje, bez psychologji bowiem w życiu ludzkiem akcji wyobrazić sobie nie sposób. Jak skoro przeto przy utworze którym wnioskowanie się nastręcza, wnet się sama przez się zaznacza tendencja, jako nieodłączna społeczno-towarzyskiego, przesiąkniętego tendencjami nawskróś życia właściwość. Pretensja przeto z powodu jej do powieści usprawiedliwić się nie daje i znamionuje — zdaniem mojem — niepojmowanie zadania jej. Powieść bez tendencji powieścią być przestaje — w inny przechodzi twórczości literackiej rodzaj: staje się noweletką, nowelą, utworem symbolistycznym, impresjonistycznym, czy dekadentystycznym, innym — słowem — w literaturze rodzajem, pokrewnym powieści, spokrewniającym się z malarstwem, z rzeźbą, z muzyką, poetyzującym prozę, ale nie powieścią, której zastąpić nie może i nie zastąpi, jak długo społeczeństwo będzie potrzebowało źwierciadła do przeglądania się w niem i śledzenia znamion życia i zdrowia, jakoteż tych guzów, plam, zmarszczek, fałdów, skrzywień, które powieść w sobie odbija i z których jedne zachować i pielęgnować, inne naprostować, zmienić lub usunąć należy.

Dok. n.



Gorączka Jerzyka.

Obrazek.

— Nie hałasuj. Widzisz, że tatuś pracuje i nie można mu przeszkadzać. Zostań w tym samym pokoju, ale baw się po cichutku! — mówiła Wanda półgłosem do ucha Jerzyka, który sprowadziwszy się do gabinetu ojca z wielkim papierowym koniem na biegunach, uderzając w powietrze biczykiem, wołał głośno:

— Ty głupi koniu, czemu nie ruszasz się z miejsca?

— Już będę grzeczny i nie będę bił konia, tylko niech mamusia nie każe mi iść ztąd — prosił Jerzyk cicho, tak samo, jak matka.

Biczyk wypadł mu z rąk na podłogę, miękkim, perskim dywanem zasłaną. Pchnął konia w bok, ze złością schwyciwszy go za nozdrza.

— Idź sobie, niegrzeczny jesteś! — mruknął, odwróciwszy się od niego, wykrzywiwszy usta w ryjek na znak niechęci i niezadowolenia.

W sąsiednim pokoju odezwało się kontraltowe zawodzenie dwumiesięcznego niemowlęcia.

Cechna płakała, obudziwszy się głodna, po trzech godzinach snu.

Wanda wybiegła szybko. Po chwili rozległ się głos jej, nucący takty rytmicznej kołysanki, którą usiłowała utulić płacz dziecka.

Niebieskie światło wiszącej lampy oblało ją w chwili, gdy przycisnęła do boku małą Cechnę, której pucołowata, różowa twarzyczka z otwartemi szeroko ciemnemi oczami wychyliła się ciekawie z za koronek i wstążek batystowej poduszki, a jednocześnie rozstawione niezgrabnie palce obydwóch rączek, gładziły aksamitnem dotknięciem pierś matki.

W gabinecie Gustawa zapanowała cisza zupełna. Jerzyk odwrócony tyłem do konia, którym bawił się przed chwilą, siedząc na dywanie, układał piątrowe domki z kart. Lampa, stojąca na biurku, abażurem w chińskie desenie przysłonięta, rzucała smugę mdłego światła na drobną główkę ośmioletniego chłopca, na długie loki, wijące się dokoła ramion jego i szyji, na profil twarzy o łagodnych, delikatnych konturach, na drobne, białe rączki, w których szeleściała twarda tektura kart.

Przez pół otwarte okno zaglądała noc jesienna, migocąc skrawkiem nieba, zasianym srebrnemi gwiazdami z bladym, anemicznym sierpem księżyca na czole.

Perskie kotary we drzwiach i u okien, tureckie pufy, dębowe rzeźbione zydle, stara zbroja, zawieszona na ścianach i wielki, ze wschodniej makaty nad szeroką perską otomaną wzniesiony baldachim, całe wnętrze dużego, ciemnego pokoju tchnęło tą wielką ciszą, jaką daje rzeźwą, chłodną mgłą parujący wieczór wrześniowy po skwarnem, niemal dusznem południu.

Gustaw, oparty głową na ręku, pisał poemat, którym natchnęła go słyszana dziś ponura orkiestralna fantazja Saint-Saënsa.

Przed godziną wrócił z koncertu, gdzie grano »Taniec szkieletów«, wielką symfonję cmentarną, pełną efektów i nagłych, niespodziewanych zwrotów oraz kombinacji instrumentalnych.

W głowie pełno miał jeszcze szalonego zgrzytu chrapliwych dysonansów i suchych, tępych, bezcielesnych dźwięków, zwiastujących pijaną orgję duchów na mogiłach, wśród głuchej, nocnej ciszy.

Obrazy, jeden po drugim, budziły się w umyśle jego. Widział przed sobą wyraźnie pusty, kirem mroku przysłonięty cmentarz, słyszał szelest drzew, niby akompanjament rytmiczny do powolnego budzenia się szkieletów ze snu grobowego.

Cmentarz. Pusto. Mrok ponury.
Dziwnie smutno szumią drzewa;
Twarz księżyca skryły chmury;
W cieniach gąszczu ptak nie śpiewa.
Cisza — ciężkim snem ujęte
Wszystko milczy jak zaklęte.
W tem — z kościoła bliskiej wieży
Zegarowy bije dzwon,

Pośród ciszy wdal się szerzy
Dźwięczny, głośny jego ton...
Północ! straszna mar godzina.
Cmentarz życiem zawrzał cały,
Ziemia ruszać się zaczyna,
Z trumien wieka pospadały,
I rękami kościstemi
Trup mogiłę swą otwiera.

Wolno, nie poddając się napływowi słów, które noc szara, czy też rozbiegane chochliki jego myśli podszeptywały mu wprost do ucha, Gustaw notował na świstku papieru rymy wierszy. Czasami kreślił całe zdania, podstawiając na ich miejsce inne o silniejsych końcówkach i lepszej prozodji; niekiedy szybszem pociągnięciem pióra rzucał kilka nowych strof odrazu, zastanawiając się dopiero po napisaniu ich nad brzmieniem i treścią wyrazów.

Druga część symfonji przechodziła w powiewną, spokojną kołysankę, nuconą przez pląsające szkielety.

Lekko, gdy próżna nie cięży głowa,
Lekko, gdy w piersi nic już nie bije,
Lekko, gdy pamięć wspomnień nie chowa,
Lekko, gdy serce uczuć nie kryje...

pisał Gustaw.

Naraz przerwał pracę. Odwróciwszy kartkę, zapełnioną drobnem, gęstem pismem, odczytał sam dla siebie głośno, wyraźnie pierwszą strofę, usiłując odczuć słuchem bardziej chropowate przejścia lub złą modulację zgłosek.

Jerzyk, siedząc na dywanie, zajęty zbieraniem kart, które nie chciały utrzymać się w formie wielkiego, czteropiętrowego pałacu i runęły właśnie w chwili, kiedy budował poddasze, — spojrzał na ojca uważnie.

— Dlaczego ty mówisz głośno sam do siebie? — miał ochotę spytać, umilkł jednak, nie powiedziawszy ani słowa.

Zegar uderzył w tej chwili dziewiątą.

O tej porze zwykle bona rozbierała malca i układała go do snu.

— Może panna Felicja dziś zapomni o mnie? — myślał teraz, siedząc cichutko, przyczajony pod ścianą.

Do największych jego przyjemności należała możność bawienia się w pokoju ojca, na wielkim dywanie, gdzie tak było miękko, przy blasku lampy, którą przysłaniał abażur z Chińczykami, spacerującymi tak zabawnie pod cieniem okrągłych parasoli, w długich, aż do ziemi sięgających warkoczach, w szerokich kaftanach, i w okrągłych, czarnych czapeczkach na głowach.

Czemże jest życie? — Snem przykrym tylko
Ułudną marą, znikomym cieniem,
Atomem czasu, przelotną chwilką —
Śmierć jest wieczności wcieleniem, —

pisał Gustaw, skończywszy głośne czytanie.

Nie był on poetą z zawodu. Przy licznych jego zajęciach, natchnienie przychodziło rzadko, poddając mu się jednak, doznawał wrażenia rozkoszy: tworzył wówczas krótkie fantastyczne opowiadania prozą lub wierszowane poematy, które — pod pseudonimem — nieznany publice i redakcji drukował w jednem z pism stale.

Ostatnie strofy grobowej fantazji dobiegały pod piórem jego do końca. Duchy zawodziły apoteozę śmierci:

Z czasem — mrok światłość pochłonie jasną,
Wszechświat pokryje całun grobowy,
Zmartwieje ziemia, gwiazdy zagasną,
Zmrozi je oddech śmierci lodowy,
Ziejąc zniszczeniem i skonem.
I śmierć zostanie bytu królową,
Jej państwem będzie przestwór bez końca...

Zegar wskazywał dziewiątą i pół. Jerzyk, wciśnięty w głąb pokoju, między bok otomany a krawędź czarnego, marmurowego słupa, na którym wielka palma daktylowa rozpostarła bukiet postrzępionych liści, siedział, nie oddychając prawie.

Panna Felicja mogła wejść lada chwila i zabrać go do dziecinnego pokoju. Ta myśl odejmowała mu chęć nawet do zabawy. Talja kart leżała na dywanie rozrzucona; on sam byłby chciał zamienić się w atom niewidzialny, aby zapomniano o nim i nie odszukano go tutaj.

Przytulony do ściany, słuchał miarowego głosu Gustawa, który, skończywszy pracę swoją, rozpoczął na nowo odczytywanie jej i drobne poprawki.

— Co się ojczulkowi stało dzisiaj, że tak ciągle sam do siebie mówi? — myślał Jerzyk, nie rozumiejąc ani jednego wyrazu z utworu ojca.

Rytmy i rymy odbijały się w mózgu jego, jak zarysy przedmiotów konkretnych w szybie źwierciadła, nie zostawiając na pozór żadnych w niej śladów.

Dok. n. *Cecylja Walewska.*



Przyszłość sztuki i poezji.



W sierpniowym numerze »Biblioteki Warszawskiej« umieścił p. J. Kotarbiński swój odczyt, wygłoszony w roku bieżącym w Krakowie. — Praca wytrawnego krytyka i zarazem znakomitego artysty zasługuje bezwątpienia na uwagę i dlatego chcemy, choćby w streszczeniu, zapoznać z nią naszych czytelników.

Zaznaczywszy na wstępie w ogólnych zarysach poglądy różnych myślicieli, jak: Pascala, Monteskiusza, Renana, z naszych zaś Supińskiego i innych, »kopiących grób dla sztuki«, zatrzymuje się autor nad problematami, które postawił przedwcześnie zmarły filozof francuski Guyau w swem dziele p. t. »Zagadnienia estetyki współczesnej«, a mianowicie: czy rzeczywiście, wobec przewagi wiedzy, poezja i sztuka nie mają przed sobą przyszłości? Czy uczucie i wyobraźnia mają ustąpić badawczej pracy rozumu? Czy ludzkość ma się naprawdę wyrzec zachwytów i »złotych mar« dla idei i prawd oderwanych?

Zanim podamy treść odpowiedzi, jaką daje p. K. na pytania powyższe, powtórzymy za nim pokrótce »pojęcie socjologiczne samego rdzenia sztuki«, które dał wspomniany Guyau w dziele p. t. *L'art au point de vue sociologique* (Sztuka rozważana pod względem socjologicznym). W działaniu sztuki, według teorji Guyau, urzeczywistnia się zasada rozszerzenia życia, właściwa wszystkim istotom żyjącym. Sztuka jest rdzennie społeczną, ponieważ najwyższy jej cel stanowi wytworzenie wzruszenia estetycznego z charakterem społecznym. Genjusz artystyczny jest nadzwyczajną siłą, uspołeczniającą i sympatyczną, która dąży do zmiany społeczeństw istniejących i utworzenia nowych.

»W takiem obszernem pojęciu sztuki — pisze p. K. — mieszczą się swobodnie wszystkie objawy twórczej fantazji człowieka, całe bogactwo najróżnorodniejszych kierunków, prądów i dążeń indywidualnych«.

W dalszym ciągu zastanawia się autor nad kwestją, czy fizjologja, historja i psychologja stwierdzają ponure wyroki tych, którzy przepowiadają już w blizkiej przyszłości skon sztuki i poezji.

Nie da się zaprzeczyć, że ideały sztuki i poezji w historycznym swym rozwoju ulegają ciągłym przeobrażeniom. Dzisiejszym ideałem piękności np. w malarstwie i rzeźbie nie może być bogaty rozkwit mięsa i spokój wspaniałych dawnych Wener, gdyż nie tyle w formach wspaniałych, ile w wyraz stości ruchu szukamy dzisiaj piękna. »Idąc za rozwojem piękności ludzkiej, — powiada p. K. — sztuka do pewnego stopnia postępuje od członków ciała do czoła i mózgu. Nie należy jednak twierdzić, żeby przekształcenie sztuki w nowszym kierunku było jej upadkiem«.

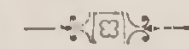
Ze stanowiska historycznego Taine twierdzi, że dla wielu sztuk, dzisiej kwitnących, przyszłość nie dostarczy potrzebnej karmi. Królestwo rzeźby kończy się w dniu, gdy ludzie przestają chodzić napół nago, — tak stanowczo mówi Renan. Podług niego »epopeja znika z wiekiem osobistego heroizmu, niema bowiem epopei z artylerją«.

Co do rzeźby, wróżby te najzupełniej zawiodły. Guyau kładzie właśnie nacisk na jej stosunek do nauki. Najnowsze poszukiwania naukowe, jak np. studja Darwina »O wyrazie uczuć« powinny raczej odświeżyć sztukę, aniżeli ją zwątlić. Plastyka rzeźby znajduje zawsze pomoc w anatomji. Obyczaje dzisiejsze również nie odbierają rzeźbie żywotności, bo w niej to właśnie zyskuje swoje naturalne zadośćuczynienie kult piękna fizycznego, stłumiony przez ascezę średniowieczną. Fakta zresztą wskazują, że dzisiaj np. we Francji rzeźba jest sztuką najżywotniejszą. I u nas nazwiska Welońskiego, Prószyńskiego, Rygiera, Godebskiego i innych dowodzą, iż ten dział sztuki, pomimo skromnych warunków rozwoju, wcale jednak nie okazuje suchotniczego wyczerpania.

Dok.. n.



Uleczalność dyfterytu.



(Dokończenie)



Kilka tygodni temu na międzynarodowym kongresie hygjenicznym w Peszcie Roux wyłożył zasady nowego leczenia dyfterytu surowicą i podał rezultaty tego leczenia, obserwowane w bieżącym roku w szpitalach paryskich. Nieco później na zjeździe przyrodników i lekarzy niemieckich w Wiedniu Behring zdawał sprawę z wyników, otrzymanych przy leczeniu dyfterytu w szpitalach berlińskich.

Ogólnie było wiadomem, że z pośród dzieci dyfterycznych umiera przy dotychczasowem leczeniu przeciętnie połowa. Tak np. w szpitalu dla dzieci w Paryżu podczas lat 1890, 1891, 1892 i 1893 było wszystkich dzieci w oddziale dyfterycznym 3,971, a z tych umarło 2.029. Średnio śmiertelność za ten czas wynosiła 51·71%. Od 1. lutego do 25. lipca bieżącego roku stosowano tu leczenie surowicą, a z 448 dzieci, które przez ten czas przyjęto, zmarło tylko 109, co wynosi 24·5%. A więc przeszło połowę uratowano.

Lecz należało jeszcze odpowiedzieć na możliwy zarzut, iż może w tym roku epidemja dyfterytu wyjątkowo była łagodniejsza i że temu przypisać trzeba ów pomyślniejszy rezultat, nie zaś stosowaniu surowicy. Odpowiedź na to jest dość prosta. W tym samym czasie do innego szpitala paryskiego przyjęto 520 dyfterycznych dzieci, które leczono dawnemi metodami, a z nich zmarło 316, czyli 60%.

Ostrożność wszakże w ocenieniu rezultatów leczniczych jeszcze na tem się nie kończy. Trzeba koniecznie skonstatować, że w każdym badanym wypadku istotnie z błonicą mamy do czynienia, a nie z żadnemi innemi ostremi chorobami krtani i tchawicy, które mniej są niebezpieczne, choć przy zwykłem badaniu nie dają się odróżnić od

błonicy. Dla stwierdzenia istotnej błonicy trzeba koniecznie wykazać w owych błonkach obecność charakterystycznego laseczników, właściwego tylko tej chorobie. Taka djagnoza nie może być na poczekaniu dokonana, leczyć zaś trzeba było wszystkie dzieci, u których okazały się objawy dyfterytu.

Istotnie, z dalszych bakterjologicznych poszukiwań okazało się, że pomiędzy owemi 448 dziećmi, 128 nie miało prawdziwej błonicy. Z pozostałych zaś 320 niewątpliwie dyfterytycznych dzieci, 20 zmarło natychmiast po przyjęciu do szpitala, zanim jeszcze zdążono zastrzyknąć im surowicę; statystyka Roux'a opiera się więc tylko na 300 przypadkach, z których 78 zakończyło się śmiercią, co wynosi 26%. Godną wszakże uwagi jest i ta okoliczność, że owych 28 dzieci niedyfterytycznych pozostawało pośród dyfterytycznych i żadne nie zaraziło się dyfterytem, co najlepiej chyba dowodzi, iż owa surowica antytoksyczna nietylko ma własności lecznicze, lecz i ochronne. Zaszczepiona zdrowym, chroni ich od zakażenia dyfterytem.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę wszystkie objawy, towarzyszące każdemu oddzielnemu wypadkowi dyfterytu, i zarazem uwzględnimy te czynniki, które w pojedyńczych wypadkach mniej lub więcej sprzyjają śmiertelnemu zejściu, jeżeli, jednem słowem, wnikniemy głębiej w momenty, mącące jasność prostych wniosków z zestawień statystycznych, w takim razie wyniki leczenia surowicą w wypadkach cytowanych przez Roux'a wypadną jeszcze pomyślniej dla jego metody. Lecz wszystkich tych szczegółów niepodobna tu przytaczać. Jak doniosły np. wpływ mieć może szybkie zastosowanie tego środka leczniczego, to do pewnego stopnia już *a priori* można osądzić, wiedząc, z jaką prędkością dyfteryt osłabia i zabija swe ofiary.

Rezultaty, otrzymane w Berlinie, jeszcze bardziej są imponujące, choć, coprawda, z mniejszej liczby spostrzeżeń zaczerpnięte. Profesor Ehrlich, który stosował tu surowicę Behringa, podaje, że z 72 chorych, nieleczonych tą metodą, zmarło 25, zaś z 78, którym zastrzyknięto surowicę w pierwsze dwa dni choroby, zmarło tylko 2. Wypadki świeże, jak widać, leczą się nawet małemi dawkami. W dwu innych szpitalach z 89 pacjentów, leczonych surowicą, zmarło tylko 12, a pomiędzy tymi 7 należało do najcięższych wypadków, które właściwie wogóle już do leczenia się nie nadawały.

Na 100 miljonów ludności (mniej więcej tyle, ile obejmują razem Niemcy i Austrja) w ciągu 10 lat zapada na dyfteryt 4 miljony, a z tych 2 miljony umierają. Behring twierdzi, że należyte stosowanie nowej metody leczenia obniży tę liczbę do 10% dotychczasowych wypadków śmierci, a przy stosowaniu tego nowego środka w ciągu pierwszych 48 godzin po zapadnięciu, nawet do 5%. Przy upowszechnieniu się tej metody możnaby zatem w ciągu następnego dziesięciolecia ocalić więcej niż półtora miljona ludzi.

*
* *

Nauka nietylko odkrywa fakty i zjawiska przyrody i oddaje je na korzyść ludzkości, lecz i stara się te fakty i zjawiska objaśnić, stara się je pojąć w ich nieprzerwanym łańcuchu przyczyn i skutków. Tylko w ten sposób, wciąż zadając sobie pytania: »dlaczego?« »w jaki sposób?« badacz istotną czerpie wiedzę i potrafi uczynić z niej skarbnicę coraz to nowych pomysłów i coraz śmielszych zdobyczy.

Dlaczego, w jaki sposób — zapytajmy — surowica krwi w owych opisanych wyżej przypadkach działa uleczająco? Jeżeli zdobędziemy odpowiedź pewną, niezawodną, to możemy się spodziewać, że w analogiczny sposób uda nam się urzeczywistnić i inne życzenia cierpiącej ludzkości, uda nam się walczyć pomyślnie z tylu innemi groźnemi chorobami, które wydzierają nam w najlepszych latach najdroższe osoby i stają się sprawcami najgłębszej rozpaczy.

Sądzono, że nieznanym bliżej sposobem pod wpływem toksyn powstają z części składowych krwi także substancje chemiczne, które zobojętniają, neutralizują szkodliwe działanie toksyn. Starano się owe antytoksyny wydobyć ze krwi immunizowanych zwierząt, zbadać ich własności chemiczne, określić ich sposób oddziaływania na toksyny. Jednocześnie wszakże zwrócono uwagę na komórki krwi (ciałka białe i czerwone), które, jak wiadomo, obdarzone są własnościami życiowemi, podobnie jak stałe komórki naszych tkanek i organów. Wiadomo istotnie, że białe ciałka krwi biorą ważny udział w walce organizmu z chorobotwórczemi działaniami zewnętrznemi. A reakcję krwi, jej oddziaływanie na bodźce chorobowe uważać musimy za coś równie rzeczywistego, realnego, jak reakcję każdego innego organu naszego ciała. Toż i krew istotnie jest organem, i to pierwszorzędnej wagi w naszym ustroju, organem płynnym, spełniającym jedną z naczelnych czynności organizmu. W każdym zaś organie złożony jest pewien zapas siły, który wyzwala się wówczas, gdy grozi mu niebezpieczeństwo i który pobudza do energiczniejszego działania w celu usunięcia szkodliwego wpływu.

Bodziec, który, działając w nadmiernej intensywności, zabija, ten sam bodziec, zaaplikowany w słabszym stopniu, budzi drzemiące siły zapasowe i powołuje je do działania wobec napastującego wroga. Toksyny, które zabijają zwierzę, gdy są zanadto skoncentrowane, działają ostrzegająco, wyzwalają utajoną siłę organizmu, jeżeli zastosować je w stanie rozcieńczonym. Słabe ciosy wywołują obronę, silne zabijają. W tej samoobronie, samopocy każdej żywej istoty, dla której tysiące można przytoczyć przy-

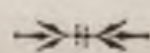
kładów z zakresu fizjologji i patologji, upatrywać trzeba najpewniej reakcję leczniczą po zastrzyknięciu słabych roztworów surowicy, zebranej z immunizowanych zwierząt. Na czem polega mechanizm tej samoobrony? czy istotnie jest tu w grze jakaś reakcja chemiczna, czy może tylko wzmożona czynność życiowa komórek rozstrzygające ma znaczenienie? na te — zarówno jak i na wiele innych pytań, ściśle związanych ze sprawą immunizacji — dotychczas odpowiedzieć stanowczo nie można.

W rozwoju medycyny, i jako nauki i jako sztuki leczenia, wciąż powracamy do przeświadczenia, że w samym żywym organizmie szukać należy środków do walki z chorobami. Współczesne prądy w terapji liczą się też sumiennie z tymi wynikami dotychczasowej nauki. I dzięki temu dąży też medycyna do owego idealnego stanu, w którym powinna wskazywać człowiekowi warunki niezbędne do zdobycia i zachowania możliwie wielkiej odporności na wpływy chorobotwórcze.

Dr. M. Flaum.



SPÓR O HAMLETA.



W wydanem przed trzema laty studjum Adolfa Gelbera o Hamlecie, zatytułowanem: *Shakespeare'sche Probleme. Plan und Einh it im Hamlet*, autor poczuwał się do obowiązku usprawiedliwić się, że wobec przepełnienia literatury tematami szekspirowskiemi, odważył się na ponowne poruszenie dawnych zagadnień.

Nieśmiałość jednak czy też skromność Gelbera nie zniechęciła do zajmowania się Hamletem, owszem jeszcze głębiej starali się wniknąć inni w psychologiczną zagadkę, jaką przedstawia bohater szekspirowskiej tragedji i w gorączkowem dochodzeniu prawdy wpadali w usposobienie wojownicze względem odmiennych zapatrywań.

Niedawno też wszczął się zawzięty spór literacki między profesorem haidelberskiego uniwersytetu, p. Kuno Fischerem, a młodym krytykiem niemieckim, Hermanem Türckiem z Jeny. Idzie znowu o Hamleta. Herman Türck pokusił się już w r. 1888 o wynalezienie sposobu psychologicznej analizy szekspirowskiego bohatera w rozprawie *Hamlet ein Genie*, potem w studjum filozoficznem, zatytułowanem »Istota genjuszu« (*Das Wesen des Genie's*) i wreszcie w rozprawie doktorskiej »Problemat psychologiczny tragedji Hamlet«.

W roku 1891 ogłosił profesor i ekscelencja Kuno Fischer, w drugiem wydaniu dzieła *S hiller-Schriften* swoje poglądy w krótkiem wyjaśnieniu tragedji Schakespeare'a.

W wielu szczegółach okazało się niezwykłe podobieństwo między poglądami obu uczonych, które jeszcze wyraźniej uwydatniło się w rozprawie Kuno Fischer'a, umieszczonej w literackim dodatku monachijskiej *Allgemeine Zeitung* z dnia 27 i 28 lutego i 2 marca r. b. Profesor Kuno Fischer omawiał tam krytycznie dzieło Löning'a o Hamlecie i rozpisał się ponownie nad charakterem bohatera dramatu, dochodząc nieraz do takichże wniosków, jakie wypowiedział był poprzednio Herman Türck.

Młody uczony, upatrując widocznie w pracy Fischera nieprawidłowe przywłaszczenie cudzych idei, ogłosił w Jenie w początku r. 1894 nakładem księgarni Manke'go broszurę: *Uebereinstimmung von Kuno Fischer's und Herman Türck's Hamlet-E klärung*, w której otwartą wojnę wypowiada rzekomemu plagiatorowi. Na to już dnia 15. maja zabrał głos profesor heidelberski znowu w dodatku literackim monachijskiego dziennika i przemówił językiem bardzo ciętym, a w tydzień później 22. maja ogłosił tamże ponowny artykuł obronny w tejże sprawie.

Nastąpiła niebawem replika Türck'a w formie broszury p. t. »Metoda krytyczna Kuno Fischer'a«, prócz tego zaś autor wytoczył proces Fischer'owi, a gdy sąd monachijski nie okazał się skłonnym do przyjęcia skargi, Türck obwinił profesora o obrazę, zawartą według jego mniemania w artkule z dnia 22. maja.

Jakikolwiek obrót weźmie sprawa obu powaśnionych literatów przed forum sądowem, warto się przyjrzeć przedmiotowym podstawom osobistego zatargu.

Cała sprawa obraca się około »wynalazku«, że Hamlet jest genjuszem. »Hamlet jest genjalnym człowiekiem, który nim przystąpił do czynu, wprzódy wyjaśnić sobie pragnie zasadę naczelną wszelkiego działania. Genjusz działa tylko swobodnie, nieznosząc nacisku osobistych pobudek. Skoro zaś pobudki te zjawią się, jak u Hamleta, gdy poczuwa się do obowiązku pomszczenia śmierci ojca, wtedy pozostaje on bezczynnym i genjalna istota jego zmarnieje raczej, niż zada kłam samej sobie, postępując według fałszywych zasad.. Hamlet w wybitnym stopniu jest człowiekiem czynu, dla niego względy kowencjonalnej moralności nie stanowią przeszkód. Bezczynność jego wynika tylko z chwilowego usposobienia... Hamlet był idealistą, a więc zarazem i optymistą. Boleśne doświadczenia po śmierci ojca nietyko przepełniły serce jego niechęcią do osób, po których innego zachowania mógł się był spodziewać, lecz także odjęły mu upodobanie do świata i chęć do życia. Z natury bezinteresowny, a więc nie podlegający egoistycznym pobudkom, pozbawiony jest teraz — gdy odebrano mu chęć do życia i działania — wszelkich bodźców do uwydatnienia wielkich drzemiących w duszy zdolności. Wszystko, co naokół siebie widzi, niweczy odrazu i bezlitośnie całe jego

idealne pojęcie o życiu i świecie. Główne miejsce w jego świadomości zajęła ruina idealnych jego albo raczej optymistycznych pojęć. Optymizm zmienia się ostrym kontrastem w pessymizm, dla którego świat cały jest pustką i próżnią«. Tak się wyraża o Hamlecie Türck.

Inne miał zapatrywania Goethe: »Pojmuję jasno« — pisze on — »że Shakespeare pragnął opisać wielki czyn, przekazany duszy niedorastającej do swego zadania. W tym sensie cała sztuka jest napisana. Widzimy przed sobą dąb wsadzony w misterne naczynie, przeznaczone właściwie tylko dla kwiatków. Korzenia rozrastają się, naczynie musi się rozpaść. Piękna, czysta, wysoce moralna istota, bez tej siły zmysłów, która charakteryzuje bohaterów, marnieje pod ciężarem, którego nie jest w stanie ani zrzucić, ani unieść. Wymagają od niego czynów nie bez względnie niemożliwych, lecz takich, które dla niego są niemożliwe. Więc się dręczy i waha, lękliwie naprzód idzie i cofa się znowu, więc wśród ciągłych przypomnień sam oddaje się wspomnieniom i nakoniec właściwy cel z oczu traci, nie odzyskując już nigdy wesołości«.

Dwa te poglądy, Goethe'go i Türck'a, charakteryzują wiernie kontrast, zachodzący między nową i dawną krykyką. Opracowania nowsze wiele zawierają ciekawych momentów i przyjemnie się czytają, lecz pożytek z nich naukowy bardzo mały. Interesują nas jako utwory pomysłowych krytyków, lecz ogół publiczności i artyści dramatyczni nie przywiązują do tych poszukiwań Hamletowskich tego znaczenia, jakie im nadają autorowie i nie podzielają zupełnie ambicji wojowniczych krytyków o pierwszeństwo wynalazku »genjalności« Hamleta. *K.*



Przegląd pism.

»Przegląd prawa i administracji«. — Wrzesień 1894. Wydanie jubileuszowe.

—

Nie zdając zazwyczaj sprawy z pism fachowych, do których i »Przegląd prawa i administracji« zaliczyć należy, czynimy wyjątek dla wrześniowego zeszytu tego pisma. W roku bieżącym, roku wystawy i jubileuszowym dla wielu naszych towarzystw, przypadła 25-cio letnia rocznica lwowskiego Towarzystwa prawniczego, którą jego organ uczcił, wydając numer jubileuszowy.

Na czele zeszytu znajdujemy rys historji Towarzystwa, skreślony przez p. Piotra Stebelskiego. Pomimo okresu upadku (od r. 1872—81), w ciągu którego była już mowa o rozwiązaniu Towarzystwa, otrząsnęło się ono jednak ze swego uśpienia i obecnie ma byt zapewniony.

Artykuł dr. Głąbińskiego zajmuje się »Finansami Galicji w r. 1894« i podnosi ważną, nader żywotną dla skarbu krajowego kwestję reformy skarbowości samorządu.

»Cztery kwestje prawne z czasów powstania Kościuszkowskiego«. Artykuł pod tym tytułem wydobywa ze spleśniałych aktów zeszłowiecznych kilka kwestji (z dziedziny prywatnych stosunków), które na tle ówczesnych wydarzeń powstały, a w świecie prawniczym ubiegłego stulecia żywe zajęcie wzbudziły. Jest tu między innymi, i opis procesu między Marją Styrżową a Marją Kikulinusową. Styrżowa »ze strachu przed rewolucją« opuściła Kraków, pożyczywszy od mieszczanki Kikulinusowej 31 dukatów i zostawiając w jej domu różne przedmioty i 104 butelek wina.

Po przejściu burzy zwróciła Styrżowa pożyczone dukaty i odebrała w należytym porządku pozostawione przedmioty, z wyjątkiem wina, którego odszukać nie było można. W ciągu kilka lat trwającego procesu, przekonano Kikulinusową, iż owem winem zwycięzców i rannych z pod Racławic raczyła i wino to z] jadłem i innymi trunkami wysyłała na okopy, sypane przez mieszczan na przedmieściu Wesoła. Jest tu także proces, wytoczony przez niejakiego Seeloffa, dzierżawcę, margr. Wielopolskim i ich pełnomocnikowi Sroczyńskiemu o szkody i straty, które pierwszy poniósł w zabudowaniach gospodarskich w dobrach Kozubów i Młodze wielkie, własności Wielopolskich. Zabudowania te spłonęły podczas utarczki (25 marca 1794) między konną brygadą gen. Mangeta i moskiewskim pułkownikiem Łykoszynem.

Dr. Wojciech Dzieduszycki umieścił w omawianym zeszycie rozprawę »O idei prawa ze stanowiska filozoficznego«.

Dr. Jaworski przetłumaczył i wydał z rękopisu pozostałego po zmarłym prof. Dargunie rozprawę p. t. »Wpływ wojny na prawo«. Są to wprawdzie fragmenty tylko dzieła, nad którem pracował ś. p. Dargun, ale bezwątpienia zasługują na bliższą uwagę, jak wszystko, co z pod pióra tego uczonego wyszło. W zeszycie, z którego zdajemy sprawę, znajduje się dopiero początek tej pracy.

Prof. uniwersytetu w Liège, p. Ferdynand Thiry, nadesłał rozprawę p. t. »Kara a dziecię«, umieszczoną w języku francuskim wraz z przekładem polskim.

Dr. Roszkowski pisze o projektach sankcji wykonawczej dla konwencji genewskiej, wypracowanych z inicjatywy Instytutu prawa międzynarodowego.

Poważny historyk p. Wł. Smoleński w krótkim artykule p. t. »Przyczyny upadku projektu kodeksu Jędrzeja Zamojskiego na sejmie z r. 1780« pisze: »Odrzucenie przez sejm z r. 1780 »Zbioru praw sądowych« Jędrzeja Zamojskiego dawało i daje historykom (zarówno naszym, jak i rosyjskim) okazję do miotania gorzkich na ówczesne społeczeństwo szlacheckie wyrzutów«. Zdaniem autora, przypisywanie upadku projektu Zamojskiego wyłącznie pobudkom zachowawczości szlacheckiej jest błędnem. Autor opiera ten pogląd na zapisce Bezborodki, późniejszego kanclerza rosyjskiego, używanego w r. 1780 przez Katarzynę do posług dyplomatycznych, zapisce, znajdującej się w wydawnictwie p. t. »Archiwum ks. Woroncowa« (po rosyjsku). Widać z niej, iż Katarzyna poleciła, aby ówczesny jej poseł, Stackelberg, na zasadzie listu, jaki otrzyma, zwalczał wszystko, coby w projekcie sprzeciwiało się obecnemu systemowi rządu polskiego lub nie odpowiadało naszym interesom...« Faktem jest, powiada p. S., że wobec stanowiska, jakie zajął dwór petersburski, projekt Zamojskiego przejść nie mógł.

Sporą część zeszytu »Przeglądu« zajmują ciekawe aforyzmy polskich i obcych prawników. *p.*

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.